

GUILLAUME MUSSO



URATUJ
MNIE



1

*Dzisiejszy dzień jest pierwszym z tych,
które zostały ci do przeżycia.*

Anonimowy napis wyryty
na jednej z ławek w Central Parku

Styczniowy poranek w Zatoce Nowojorskiej — pora,
w której dzień zyskuje przewagę nad nocą.

□

Przez wędrujące na północ chmury spoglądamy z wysoka na Ellis Island i na Statuę Wolności. Jest zimno, całe miasto sparaliżowała śnieżycą i wichura.

Nagle przez pułap chmur przebija się jakiś ptak o srebrzystych piórach, spada jak strzała na drapacze chmur i nie zważając na szalejącą zamieć, szybuje w stronę północnego Manhattanu, jakby gnała go jakaś tajemna siła. Z pisakiem przelatuje z niesamowitą prędkością nad Greenwich Village, Times Square i Upper West Side, by w końcu wylądować na bramie wejściowej jednego z parków.

Znajdujemy się na samym końcu Morningside Park w pobliżu Uniwersytetu Columbia.

W tym czasie młoda Francuzka, Juliette Beaumont, korzysta z ostatnich chwil snu.

6:59:57

:58

:59

7:00:00

□

Kiedy rozległ się dzwonek budzika, Juliette wyciągnęła po omacku rękę w stronę nocnej szafki i zrzuciła z niej radiobudzik, który natychmiast przestał nieznośnie brzęczeć.

Przetarła oczy, wysunęła się spod kołdry, postawiła jedną stopę na lśniąącym parkiecie i po kilku zaledwie krokach zaczęła nogą o dywan ślizgający się na wypastowanych klepkach. Podniosła się wściekła i złapała pospiesznie okulary, których nie cierpi, ale bez których nie może się obejść z powodu słabego wzroku i ponieważ nie toleruje soczewek kontaktowych.

W ustawionej na schodach kolekcji lusterek odbiła się twarz młodej dwudziestoosmioletniej kobiety, okolona półdługimi włosami, i jej wesołe oczy. W odpowiedzi posłała im naburmuszoną minę, po czym spróbowała zaprowadzić jako taki porządek na głowie, przyglądając się szybkimi ruchami kilka złocistych kosmyków wijących się wokół twarzy. Głęboko wycięty T-shirt i koronkowe majteczki sprawiały, że wyglądała seksownie i zarazem figlarnie.

Jednak trwało to zaledwie chwilę, bo zaraz owinęła się kocem i przycisnęła do brzucha jeszcze ciepły termofor. Ogrzewanie nie było najmocniejszą stroną mieszkania,

które od trzech miesięcy dzieliła z Colleen, swoją współlokatorką.

— I pomyśleć, że bulimy za to dwa tysiące dolarów czynszu! — westchnęła.

Szczelnie opatulona zeszła po schodach, a raczej zeskokczyła z nich na złączonych nogach i pchnęła biodrem drzwi do kuchni. Gruby pręgowany kot, który czatował na nią od paru dobrych minut, wskoczył w jej objęcia, potem wdrapał się na plecy i o mało nie podrapał jej szyi ostrymi pazurami.

— Ej, uważaj trochę, Jean-Camille! — krzyknęła, chwytając kota z zamiarem postawienia go na podłodze.

Kocur wyraził niezadowolenie głośnym miauknięciem, po czym zwinął się w kłębek w swoim koszyku.

Tymczasem Juliette postawiła na kuchence garnek z wodą i przekreśliła włącznik radia.

...gwałtowna burza śnieżna, szalejąca od czterdziestu ośmiu godzin w Waszyngtonie i Filadelfii, przesunęła się teraz w kierunku północno-zachodnim, atakując z impetem Nowy Jork i Boston.

Manhattan obudził się tego ranka przykryty grubą warstwą śniegu, która sparaliżowała ruch i spowolniła rytm życia miasta.

Transport powietrzny został zakłócony: wszystkie samoloty startujące z lotnisk Johna Kennedy'ego i La Guardia są odwołane lub opóźnione.

Z powodu bardzo trudnych warunków drogowych władze stanowe radzą zrezygnować z poruszania się samochodami.

Metro powinno w zasadzie funkcjonować normalnie, jednak autobusy mogą kursować nieregularnie. Przed-

siębiorstwo kolejowe Amtrack zapowiada zmniejszenie liczby pociągów, a muzea, zoo i obiekty zabytkowe po raz pierwszy od siedmiu lat będą zamknięte dla zwiedzających.

Zamieć spowodowana zderzeniem wilgotnej masy powietrza znad Zatoki Meksykańskiej z masą zimnego powietrza napływającego od strony Kanady przesunie się w ciągu dnia w kierunku Nowej Anglii.

Zalecamy państwu szczególną ostrożność.

Sluchacie Radia Manhattan na fali sto jeden i cztery.

Wy poświęćcie nam dziesięć minut, my otwieramy wam okno na świat...

Juliette zadrżała, słuchając tych wiadomości. Trzeba szybko wypić coś ciepłego na rozgrzewkę. Przeszukała kuchenne szafki, ale nie znalazła ani rozpuszczalnej kawy, ani herbaty. Trochę zawstydzona, musiała wyłowić ze zlewozmywaka torebkę z wczorajszej herbaty Colleen.

Wciąż zaspana, usiadła na parapecie i spojrzała przez szybę na otulone białym płaszczem miasto.

Zalała ją fala smutku, bo wiedziała, że pod koniec tego tygodnia będzie musiała pożegnać Manhattan.

Decyzja nie przyszła łatwo, ale trzeba było pogodzić się z tą koniecznością: o ile Juliette kochała Nowy Jork, o tyle Nowy Jork nie kochał jej. Żadne z jej marzeń i żaden ze snów nie urzeczywistniły się w tym mieście.

Po skończeniu liceum przez dwa lata kontynuowała naukę w klasie humanistycznej przygotowującej do studiów wyższych, potem ukończyła Sorbonę, jednocześnie grając przez cały czas w teatrach studenckich. Następnie została przyjęta na warsztaty teatralne prowadzone przez szkołę Florenta, gdzie była jedną z najbardziej obiecują-

cych uczennic. Równocześnie biegała na różne castingi, nakręciła dwie czy trzy reklamówki i statystowała w paru filmach telewizyjnych. Jednak wszystkie te wysiłki okazały się daremne. Nie pozostało jej zatem nic innego jak zrezygnować z ambicji i przyjmować propozycje udziału w promocjach w supermarketach i innych przedsiębiorstwach, grać w sztukach wystawianych w przypadkowych miejscach z okazji czyichś urodzin i uczestniczyć w przebraniu Kubusia Puchatka w przedstawieniach organizowanych w Disneylandzie.

Jej horyzont zdawał się ograniczony, ale jeszcze nie traciła nadziei. Postanowiła wziąć byka za rogi i wyskoczyła do Stanów Zjednoczonych. Z głową pełną marzeń o Broadwayu wylądowała w Wielkim Jabłku w roli dziewczyny *au pair*. Czyż nie mówi się, że temu, kto osiągnie sukces w Nowym Jorku, wszędzie wszystko się uda?

Przez pierwszy rok opiekowała się dziećmi i miała dużo wolnego czasu, który wykorzystwała na naukę angielskiego, nabranie poprawnego akcentu i uczęszczanie na zajęcia aktorskie. Ale wszystkie przesłuchania, przez które przeszła, zakończyły się jedynie propozycjami niewielkich ról w sztukach eksperymentalnych lub awangardowych wystawianych w małych teatrach, na strychach i w salkach parafialnych.

Potem miała się różnych zajęć: pracowała jako kasjerka na pół etatu w małym supermarkecie, sprzątaczką w obskurnym hotelu na Amsterdam Avenue, kelnerką w kawiarni.

Miesiąc temu postanowiła wrócić do Francji. Colleen miała się niedługo wyprowadzić i zamieszkać z przyjacielem, a jej zabrakło odwagi i chęci, by poszukać nowej

współlokatorce. Tak więc nadszedł czas, aby pogodzić się z porażką. Prowadziła ryzykowną grę i przegrała. Przez jakiś czas myślała, że jest sprytniejsza od innych, i nic sobie nie robiła z pułapek rutyny i zobowiązań. Dziś jednak czuła się zupełnie zagubiona, zdezorientowana i bez pomysłów. Poza tym skończyły się oszczędności, a wiza dziewczyny *au pair* wygasła już dawno temu, co stawiało ją w sytuacji cudzoziemki przebywającej na terenie Stanów nielegalnie.

Samolot do Paryża odlatuje pojutrze, oczywiście jeśli pozwoli na to pogoda.

Dalej, mała! I przestań się nad sobą litować!

Z trudem wstała z parapetu i powędrowała w stronę łazienki. Zrzuciła koc, następnie bieliznę i wskoczyła do kabiny prysznicowej.

— Aaaaa! — wrzasnęła, czując na plecach lodowaty strumień.

Colleen kąpała się pierwsza i nie zostawiła ani kropli gorącej wody.

Niezbyt to miłe, pomyślała Juliette.

Mycie się w zimnej wodzie było wprawdzie torturą, ale niezdolna do chowania urazy, szybko znalazła usprawiedliwienie dla przyjaciółki: Colleen kończyła wspaniałe studia prawnicze i tego dnia szła na spotkanie w sprawie pracy do znanej w mieście kancelarii.

Choć Juliette nie miała skłonności do narcyzmu, tego ranka stała przed lustrem trochę dłużej niż zwykle. Coraz częściej dręczyło ją pytanie: Czy jestem jeszcze młoda?

Skończyła właśnie dwadzieścia osiem lat. Oczywiście, że jest jeszcze młoda, ale musiała przyznać, że to nie to samo co mieć dwadzieścia lat.

Suszając włosy, podeszła do lustra, przyjrzała się swo-

jej twarzy i w kącikach oczu zauważyła drobniutkie zmarszczki.

Zawód aktorki, wystarczająco trudny dla mężczyzn, był jeszcze trudniejszy dla kobiet: one nie mogły pozwolić sobie na najmniejszą niedoskonałość w wyglądzie, podczas gdy mężczyznom dodawała ona uroku i charakteru, co zawsze ją denerwowało.

Zrobiła krok w tył. Jej piersi były nadal bardzo ładne, choć może nie trzymały się tak wysoko jak dwa lata temu.

Ależ skąd! Tak ci się tylko wydaje.

□

Juliette nigdy nie miała zamiaru poddawać swojego ciała jakimkolwiek zabiegom „ulepszającym”: wzmacniać uśmiech kolagenem, zacierać zmarszczki na czole zastrzykami z botuliny, poprawiać kształt kości policzkowych, fundować sobie dołek w brodzie lub nowy biust... Jeśli ktoś uznał to za naiwność, trudno. Ona wołała siebie taką, jaką była: naturalną, wrażliwą i marzycielską.

Prawdziwy problem polegał na tym, że straciła pewność siebie. Stopniowo musiała porzucić wszystkie nadzieje: że zostanie aktorką, że spotka wielką miłość. Jeszcze trzy lata temu myślała, że wszystko jest możliwe; może być Julią Roberts albo Juliette Binoche. Potem zmęczyła ją codzienność. Wszystkie zarobione pieniądze pakowała w czynsz. Nie pamiętała już, kiedy kupiła sobie jakąś kieckę, a jadła najczęściej ravioli z puszki i makaron.

Nie stała się ani Julią Roberts, ani Juliette Binoche. Za pięć dolarów za godzinę serwowała cappuccino w kawiarni, a ponieważ nie wystarczało to na opłaty za mieszkanie, w weekendy miała się różnych innych zajęć.

W myślach nadal pytała lusterko: Czy mogę jeszcze kogoś oczarować? Wzbudzić w kimś pożądanie?

Bez wątpienia — ale jak długo jeszcze?

Patrząc sobie prosto w oczy, rzuciła na głos ostrzeżenie:

— Niedługo przyjdzie taki dzień, że żaden mężczyzna się za tobą nie obejrzy...

Póki co, ubieraj się szybko, jeśli nie chcesz się spóźnić.

Wciągnęła rajstopy i dwie pary skarpetek, czarne džinsy, koszulę w paski, gruby sweter i blezer z supełkowej włóczki.

Rzuciła okiem na zegar i wpadła w panikę, widząc, która jest godzina. Lepiej się pospieszyć. SzeF nie jest taki słodki, i nawet jeśli to ostatni dzień jej pracy, niepogoda nie może usprawiedliwić spóźnienia.

Zbiegła ze schodów, łapiąc z wieszaka czapkę i szalik i zatraskując za sobą drzwi tak, by nie zgilotynować nimi kota, nieustraszonego Jeana-Camille'a, który zwabiony zapachem śniegu, wystawił nos na zewnątrz.

Kiedy z kolei ona wystawiła na dwór swój nos, omiół ją lodowaty podmuch. Nigdy jeszcze nie widziała tak spokojnego Nowego Jorku.

W ciągu paru godzin Manhattan zamienił się w gigantyczną stację sportów zimowych. Śnieg nadawał ulicom metropolii widmowy wygląd i paraliżował ruch. Na chodnikach i skrzyżowaniach utworzyły się wielkie zaspY. Po ulicach, zazwyczaj hałaśliwych i zatłoczonych, posuwały się tylko terenowe samochody z napędem na cztery koła, kilka żółtych taksówek i nieliczni przechodnie, opatuleni, jakby wybierali się na narty.

Odnajdując na moment zapach dzieciństwa, Juliette otworzyła usta i złapała w nie parę płatków śniegu. O mało nie upadła i dla utrzymania równowagi rozpostarła szeroko

ramiona. Na szczęście stacja metra była niedaleko. Wystarczy uważać, żeby się nie pośliz...

Za późno. Zanim zdążyła dokończyć, runęła jak długa i zaryła nosem w śnieg.

Obok przeszli dwaj studenci, nie udzielając jej pomocy i śmiejąc się złośliwie. Juliette poczuła się upokorzona i była bliska płaczu.

Zdecydowanie ten dzień nie zaczął się najlepiej.

2

*A my nadal jesteśmy ze sobą złączeni,
Ona na wpół żywa, a ja na wpół martwy.*

Victor Hugo

Parę kilometrów stąd, trochę dalej na południe, potężny landrover przejeżdżał przez opustoszały parking przy cmentarzu na Brooklyn Hill.

Plastikowa karta umieszczona w narożniku przedniej szyby pojazdu zawierała informację o nazwisku i zawodzie właściciela:

Doktor Sam Galloway
szpital Świętego Mateusza
Nowy Jork

Samochód zatrzymał się w pobliżu wejścia na cmentarz. Mężczyzna, który z niego wysiadł, mógł mieć około trzydziestki. Był dobrze zbudowany, miał na sobie płaszcz, a pod spodem doskonale skrojony garnitur. Wyglądał solidnie i elegancko, ale jego spojrzenie — dziwne z powodu oczu, z których jedno było niebieskie, a drugie zielone — zasnuwała mgiełka melancholii.

Czując mroźne i szczypiące powietrze, Sam Galloway zawiązał mocniej szalik i dla rozgrzewki chuchnął w ręce. Zrobił kilka kroków po śniegu w stronę cmentarnej bramy. O tej porze była jeszcze zamknięta, ale dzięki zesłorocznej darowiźnie dla cmentarza Sam uzyskał prawo do posiadania własnego klucza.

Od roku przychodził tu regularnie raz w tygodniu, zawsze rano, przed udaniem się do szpitala. Ten rytuał był dla niego jak narkotyk.

To jedyny sposób, żeby pobyc z nią jeszcze trochę...

Otworzył małą żeliwną furtkę, którą zazwyczaj wchodził stróż, i włączył oświetlenie, po czym machinalnie skierował kroki między alejki.

Był to obszerny cmentarz położony na pagórkowatym terenie przypominającym park. Latem ludzie przyjeżdżali tu nacieszyć się widokiem różnych gatunków drzew i pospacerować cienistymi alejkami. Jednak tego ranka najcichszy świergot ptaka i żaden ruch nie zakłócały ciszy tego miejsca, poza śniegiem cicho tworzącym zaspę.

Po przejściu około trzystu metrów Sam dotarł do grobu swojej żony.

Śnieg dokładnie przykrył kamień nagrobkowy z różowego granitu. Rękawem płaszcza Sam oczyścił jego górną część, odsłaniając napis:

Federica Galloway
(1974—2004)
Spoczywa tu na wieki

a nad nim zdjęcie trzydziestoletniej kobiety o ciemnych włosach upiętych w kok i spojrzeniu uciekającym przed obiektywem aparatu.

Nieuchwytna.

— Dzień dobry — powiedział cicho. — Zimny dziś mamy ranek, prawda?

Od kiedy umarła rok temu, Sam zwykł rozmawiać z Federicą, jakby nadal żyła.

Tymczasem nie miał w sobie nic z osoby nawiedzanej. Nie wierzył ani w Boga, ani w życie pozagrobowe. Prawdę mówiąc, wierzył w niewiele rzeczy poza nauką medyczną. Był doskonałym pediatrą, który — w powszechnym mniemaniu — okazywał wiele współczucia swoim małym pacjentom. Mimo młodego wieku opublikował już w poważnych pismach medycznych liczne artykuły i otrzymywał wiele interesujących propozycji współpracy od różnych szacownych instytucji.

Sam zrobił niedawno specjalizację z jednej z dziedzin psychiatrii, która wychodzi z założenia, że nawet osoby dotknięte najstraszliwszą tragedią mogą odnaleźć siły i odbudować swoje życie, zamiast poddawać się chorobie i pograżać w rozpacz. Część jego pracy polegała zatem na naprawianiu najpoważniejszych urazów psychicznych, którym ulegały dzieci i które spowodowane były chorobą, agresją, gwałtem oraz przedwczesną śmiercią bliskich osób.

Jednak o ile był dobry w udzielaniu pomocy pacjentom w przezwyciężaniu cierpienia i odzyskiwaniu panowania nad sobą, o tyle wydawało się, że wobec siebie nie potrafił zastosować rad, jakie im dawał. Z pewnością dlatego, że niedawna śmierć żony zupełnie go załamała.

□

Historia jego związku z Federicą była dość skomplikowana. Znali się od bardzo wczesnej młodości i oby-

dwoje dorastali w Bedford-Stuyvesant, zakazanej dzielnicy Brooklynu, która swoją złą sławę zawdzięczała handlowi narkotykami i rekordowej liczbie zabójstw.

□

Kiedy Federica miała sześć lat, jej pochodzący z Kolumbii rodzice opuścili ulice Medellin, nieświadomi tego, że zamieniają jedno piekło na inne. Zaledwie rok po przybyciu do Ameryki ojca dosięgła kula zabłąkana podczas jakiejś strzelaniny między rywalizującymi dzielnicowymi gangami. Federica została więc sama z matką, która stopniowo wpadła w sidła alkoholizmu, i narkotyków, zaczęła chorować.

Dziewczynka chodziła do obskurnej szkoły, której budynki znajdował się w samym środku wysypiska i złomowiska spalonych samochodów. Nie było tam czym oddychać i panowała napięta atmosfera, a na rogach ulic wystawiali dealerzy zawsze gotowi do usług.

W wieku jedenastu lat, przebrana za chłopca, sama odprzedawała narkotyki w jednym podejrzanym barze na Bushwick Avenue. A działo się to w Brooklynie lat osiemdziesiątych i było jedynym sposobem na zdobycie działki potrzebnej jej matce. Zresztą, to właśnie matka nauczyła Federicę podstawowych reguł dealerki: nigdy nie oddawać towaru przed zainkasowaniem od kupującego forsy.

□

W college'u poznała dwóch młodszych od siebie chłopaków, którzy wydawali się inni od pozostałych: Sama Gallowaya i Shake'a Powella. Sam, klasowy intelektualista, zawsze z książką w ręku, samotnik wychowywany

przez babcię, był jedynym białym w całej szkole, co przysparzało mu wielu wrogów, bo do tej szkoły chodzili głównie Afroamerykanie.

Natomiast Shake był istnym żywiołem. W wieku trzy-nastu lat był równie wysoki i umięśniony jak większość dorosłych mieszkających w dzielnicy, ale pod tym wyglądem złego chłopaka skrywał wrażliwą duszę.

We troje jednoczyli siły niezbędne do przeżycia w szem-ranym środowisku. Wzajemna pomoc i przyjaźń zrodziła się z tego, co ich różniło, i każdy odnajdował równowagę dzięki pozostałym. Kolumbijka, biały i czarny: serce, inteligencja i siła.

W miarę jak dorastali, starali się trzymać możliwie najdalej od awantur w dzielnicy. Widzieli spustoszenia, jakie czyniły w ich otoczeniu twarde narkotyki, i nie mieli ochoty po nie sięgać.

Sam i Federica nie wyobrażali sobie nawet, że pewnego dnia wydadzą się z tego szamba, w którym każdego dnia życie ludzkie wisiało na włosku. Wszechobecne ryzyko jego utraty nie zachęcało bynajmniej do snucia dalekosiężnych planów. Nie mieli zatem żadnych konkretnych ambicji, bo nie miał ich nikt wokół nich.

A jednak wbrew wszelkim oczekiwaniom i dzięki sploto-wi okoliczności wydostali się z tego bagna oboje. Zostając lekarzem, Sam „przeciagnął” przyjaciółkę z dzieciństwa do swojego otoczenia i rzecz jasna wkrótce się z nią ożenił.

□

Na cmentarzu śnieg nadal padał wielkimi płatkami. Sam nie odrywał wzroku od fotografii żony. Na tym zdjęciu Federica miała wbity w kok długi pędzel, a na

sobie fartuch, który wkładała zawsze, gdy zabierała się do malowania. Zdjęcie zrobił Sam. Było trochę nieostre. Nic dziwnego: trudno było uchwycić Federicę nieruchomą.

□

W szpitalu nikt nie wiedział, skąd Sam pochodzi, a on nigdy na ten temat nie mówił. Nawet kiedy żył z Federicą, rzadko powracali w rozmowach do świata, który udało się im opuścić. Należy dodać, że komunikowanie się nie było najmocniejszą stroną jego żony. Dla ochrony przed mroczną aurą swojego dzieciństwa, dzięki malowaniu bardzo wcześnie stworzyła sobie własny świat, który odgradzał ją od wszystkiego. I to tak grubym murem, że jeszcze długo po wyprowadzce z Bed-Stuy nigdy naprawdę nie opuściła gardy. Sam postanowił, że uda mu się ją z tego „wyleczyć”, tak samo jak wyleczył wielu pacjentów. Ale sprawy potoczyły się inaczej. W miesiącach poprzedzających śmierć Federica coraz częściej zaszywała się w swoim świecie i zamykała w milczeniu.

W ten sposób jeszcze bardziej się od siebie oddalili.

Trwało to do pamiętnego wieczoru, kiedy otwierając drzwi do domu, młody lekarz odkrył, że żona postanowiła zrezygnować z życia, które stało się dla niej nie do zniesienia.

Wpadł w otepienie. Federica nigdy nie wysyłała sygnałów, które zapowiadałyby, że zamierza ze sobą skończyć. Pamiętał nawet, że ostatnio wydawała się spokojniejsza. Teraz rozumiał, że była spokojna jedynie dlatego, że podjęła już decyzję i w pewnym sensie zaakceptowała takie wyjście jako ostateczne wyzwolenie.

Sam przeszedł przez wszystkie stadia: rozpacz, wstyd, bunt... Nie było dnia, żeby nie zadawał sobie pytania:

Co powinienem był zrobić, a czego nie zrobiłem?

Dreżące go poczucie winy nie pozwalało zakończyć żaloby. Nie mogło być mowy o tym, by „odbudował swoje życie”. Nadal nosił obrączkę, pracował siedemdziesiąt godzin w tygodniu i często spędzał w szpitalu kilka nocy z rzędu.

Zdarzały się chwile, w których czuł złość do żony i zarzucał jej, że tak zwyczajnie odeszła, niczego mu nie zostawiając: żadnych słów pożegnania, żadnych wyjaśnień. Nie umiał sobie wytłumaczyć, co doprowadziło ją do tego ostatecznego kroku, tak osobistego i intymnego. Ale tak to już było. Bywają pytania, które pozostają bez odpowiedzi i trzeba się z tym pogodzić.

Oczywiście w głębi duszy wiedział, że żona tak naprawdę nigdy nie wyleczyła się ze swojego dzieciństwa. I nigdy tak naprawdę nie wyprowadziła się z blokowisk w Bed-Stuy, otoczona gwałtem, strachem i odłamkami szkła z ampułek po narkotykach.

Niektóre rany nie odnawiają się, ale nie można ich również całkowicie wyleczyć. Musiał się z tym pogodzić, nawet jeśli każdego dnia swoim pacjentom mówił zupełnie coś innego.

□

W głębi cmentarza gałąź jakiegoś drzewa złamała się pod ciężarem śniegu.

Sam zapalił papierosa i jak co tydzień opowiedział żonie o najważniejszych wydarzeniach ostatnich dni.

Po chwili przestał mówić. Wystarczyło mu bycie z nią

i ze wspomnieniami. Lodowate zimno ścinało mu twarz. Dobrze czuł się w otoczeniu wirującego śniegu, którego płatki przyczepiały się do włosów i zarostu, bo był obok niej.

Czasami w nocy, po wyczerpującym dyżurze, odbierał dziwne doznania zmysłowe bliskie halucynacji: zdawało mu się, że słyszy głos Federiki i że widzi ją w drzwiach pokoju lub na szpitalnym korytarzu. Wiedział dobrze, że to wszystko jest nierealne, ale przyzwyczaił się uważać te wizje za sposób obcowania z żoną.

Kiedy na dobre zrobiło mu się zimno, Sam postanowił iść do samochodu, jednak po przejściu kilku kroków nagle zawrócił.

— Już dawno chciałem ci o czymś powiedzieć, Federico...

Głos mu się załamał.

— O czymś, czego ci nigdy nie wyznałem... czego nie wyznałem nikomu...

Przerwał na moment, jakby nie był jeszcze pewien, czy chce kontynuować tę spowiedź.

Czy ukochanej osobie należy o wszystkim mówić? Sądził, że nie. A jednak ciągnął:

— Nigdy ci o tym nie mówiłem, bo... jeśli naprawdę jesteś gdzieś tam w górze, z pewnością dobrze o tym wiesz.

Nigdy dotąd nie czuł obecności żony tak intensywnie jak tego ranka. Może z powodu nierealnego pejzażu, całej tej bieli, która otaczała go zewsząd i sprawiała wrażenie, jakby znalazł się gdzieś w niebie.

Mówił więc długo, bez przerw, i wreszcie wyjawiał jej to, co od tylu lat tkwiło w jego sercu.

Nie było to przyznanie się do zdrady małżeńskiej ani

nie dotyczyło żadnego wspólnego problemu. Nie chodziło również o pieniądze. To było coś innego.

Coś o wiele poważniejszego.

Kiedy skończył, poczuł wewnętrzną pustkę i ogromne zmęczenie.

Zanim odszedł, resztką sił wyszeptał:

— Mam tylko nadzieję, że nadal mnie kochasz...